

Nr. ds. 1252/46

O D P I S.

Nr. akt Kps 14/46, L. ds. 638/46. PROTOKOŁ. Dnia 29 października 1946 r. w Warszawie p.o. Sędzia Okręgowy Sędzcy II rejonu Sądu Okręgowego w Warszawie deleg. do Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Warszawie Halina Weredko, działając na mocy dekretu z dnia 10.XI. 1945 r. o Głównej i Okręgowych Komisjach Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce/Dz.U.R.P. Nr. 51 poz. 293/ przeszukała niżej wymienionego na zasadzie art. 254 w związku z art. 107 i 115 k.p.k. w charakterze świadka, który po uprzedzeniu o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznanie, zeznał co następuje:-----

Imię i nazwisko: Jan Kaszyński, b. więzień obojtu w Oświęcimiu, nr. 4070;
Data urodzenia: 19.XI.1920 w Warszawie; Wyznanie: Rzymsko-katolickie.
Narodowość i przynależność państwowa: Polska. Stan cywilny: samotny,
jeden syn 1 1/2 roczny. Miejsce zamieszkania: Warszawa, ul. Łochowska
Nr. 36 m. 23. Wykształcenie: średnie. Zawód: funkcjonariusz Milicji
Obywatelskiej w Głównej Komendzie w Warszawie.-----

W dniu 19.IX. 1940 r. poniedziałek godz. 8.30 ja 9-tą zostałem zabrany przez gestapo z domu przy ul. Łochowskiej nr. 36 w Warszawie. Była to ogólna obława. Przeprowadzone tułe wraz z innymi lokatorami tegoż domu na punkt zborny przy ul. Otrockiej, skąd samochodami pod eskortą gestapo, zostaliśmy przewiezieni na teren dawnej ujeżdżalni przy ul. Szwedzkiej. Na miejscu wprowadzono nas partiami do budynku wyglądającego na kasyno oficerskie, gdzie siedzący przy stolikach zastawionych ciastkami i kawą siedzieli oficerowie gestapo, którzy przy pomocy tłumacza zebrał nasze personalia. Na miejscu część zatrzymanych, którzy okazali się dowodami zatrudnienia w instytucjach pracujących dla Niemców, oraz agendach Zarządu Miejskiego, zwolniono, jak również młodocianych do lat 17-tu. Zwalnianie odbywało się chaotycznie przez oficera gestapo, do którego trudno było się docisnąć i którzy czasem nie czytając dat przedkładane mu dokumenty. Ponadto zdarzyło się, że do partii zatrzymanych idących do zwolnienia przyłączyli

się mężczyźni, których dokumentów oficer gestapo nie oglądał i że z transportem skierowanym do obozu wyjechali młodocieni.-----
Przebywaniem na terenie ujeżdżalni od dnia 19-go do 21.II.godz.4-ta.
W dniu 20.II. 1940 r. ustawiono nas kolumnami według alfabetu,prygotowując transport do wyjazdu. W czasie pobytu na ujeżdżalni nie dano nam nic do picia, a do zjedzenia otrzymaliśmy tylko kromkę chleba. Zaznaczam, że z domu byłem zabrany bez śniadania.Na terenie ujeżdżalni był jeden karn, kocioł którego trwała ciągła woda.
Przeszło 2500 zgrupowanych więźniów nie mających żadnych naczyń nie mogło zaspokoić pragnienia. Noc spędziliśmy siedząc w tejże wali pilnowanej przez czeskich SS-manów i ubezpieczonej czterema karabinami maszynowymi.Siedzieliśmy w ciasnych rzędach na podłodze. Z rodzinami kontaktu nie było można nawiązać.Posterunki pod groźbą użycia broni odpędzały rodziny,opornych bijąc kolbami. Dnia 21.II.1940 r. Jeszcze było ciemno, gdy eschodowy zaczęły wywozić partie zatrzymanych po 50 osób na dworzec Warszawa-Zachodnia Towarowa. Na dworcu przywykowany był skład pociągu towarowego, złożony z wagonów krytych (bydlęcych).Do każdego wagonu wsiadano 50 osób. Koszmar przeżycia od chwili zatrzymania i niezaspokojone pragnienie spowodowały, że w chwili ładowania nas do wagonów wielu miało gorączkę.-----
Moja grupa w czasie ładowania zachowywała się biernie aby odurzo- na, by myśleć o nieszczęściu, wobec tego ładowanie odbywało się składnie. W wagonie nie mogli wszyscy siedzieć, ponieważ było ciasno i gdy jedna połowa siedziała, druga musiała stać. Oczywiście w wagonie nie było ubikacji. Wagony zostały zamknięte na kłódki. Pilnująca nas es- korta umieszczała się w pierwszym wagonie za lokomotywą i w ostatnim. Wyjechaliśmy z Warszawy o godz.4-tej rano w niewiadomym dla nas kierunku. Przejżdżając przez Szczygłowice pod Warszawą zaczęliśmy wy- rzuczać kartki przez gęsto okratowane okienko wagonu, adresowane do naszych rodzin z wiadomością, że nas wywożą. Jedna taka kartka trafi- ła do moich rodziców i ona ją dotąd. W drodze nie dano nam nic do pi-

cia. Pomiędzy godz. 15-tą a 17-tą pociąg zatrzymał się w szarym po-
lu i usłyszałem strzały. Później się okazało, że w jednym z wagonów
zatrzymani wyrwali deskę i ze ściany wagonu i dwóch usiłowało zbiec.
Ucieczka się nie udała. Zbiegowie zostali zastrzeleni, a ciała ich
wrzucono do wagonu i dowieziono do miejsca przeznaczenia.

Okolo godz. 24-tej w nocy minąwszy stację Oświęcim, pociąg pod dłuż-
szym manewrowaniem pociąg zatrzymał się. Byliśmy na boczni, obozu
"Oświęcim" koło magazynów. Słyszeliśmy stuk otwieranych wagonów i
krzyki komendy niemieckiej. Wreszcie otworzono nasz wagon i padła ko-
menda, byśmy się skupili na połowie wagonu, podym do wagonu wsko-
czyło 3-ch SS-mandów z miejscowej załogi z pistoletami i łuskami
w ręku. By uniemożliwić ucieczkę więźniów zastosowano ten system, iż
SS-mani wyładowując wagon ustawiali się szeregiem tak, że dotykali
się łokciami. Padła komenda, by wyskakiwać z wagonu, przyczym SS-ma-
ni będący w wagonie usilnie podawali nam dosadnymi przekleństwami i
kopnięciami ciężko okutych butów. Ponieważ było ciemno, wagon był
wysoki i bocznicą nie posiadała rampy, skakało się w ciemność. Po
takim skoku zwichnąłem sobie nogę i kostkę i parę tygodni nie mogłem
chodzić normalnie.

Wyładowani szeregowani w kolumnę, podym wśród wrzasków, bicia i
kopania przywiezionych, SS-mani odprowadzali nas przez główną bramę
z napisem "Arbeit macht Frei", do centralnego obozu
"Auschwitz".

Ustawiono nas na placu przy zachowaniu tejże kolejności, jaka była
zachowana w Warszawie i przystąpiono do sprawdzenia stanu. Sprawdza-
nie odbywało się w ten sposób, że kolejno odczytywano nazwiska za-
trzymanych. Na odczytane swoje nazwisko musiałem odkrzyknąć "jestem"
i przebiec do kolumny sprawdzonych. Krzyknąłem za cicho i jeden z niemi-
czliwych więźniów "capo", uderzył mnie w głowę za uchem, co spowodowało
u mnie chwilowy stan zamroczenia. Po sprawdzeniu listy w tejże
samej kolejności poprowadzono nas do kąpieliska (Waschraum) w 13-tym

bloku według starej numeracji. Przed kąpieliskiem capo i oficerowie SS upominali nas, abyśmy wyrzucili na wskazanych nam miejscach zapył, chleb, papierosy, zapalniczki, papiery zbyteczne, ewentualnie posiadane paczki i do kąpieliska weszli tylko w ubraniu z dowodami tożsamości. W kąpielisku strzyżono najpierw więźniowi głowę do gołej skóry elektrycznymi maszynkami. Następnie w sąsiedniej sali pozwolono nam rozebrać się do naga i każdy dostał drut do związania swojej karkówki, jak również dwa kawałki tektury z napisanym numerem. Ja dostałem nr. 4070. Jeden numer przycaepiłem do swojej karkówki, drugi pozostawiłem sobie, jako wiarygodny dowód tożsamości. Nasz transport szjął numery do około 5400.

Po tych czynnościach przetrzucono nas do trzeciego pokoju, gdzie był lekarz-więzień obozowy, który pytał, czy więzień nie jest chory, na jakie choroby chorował i t.d. Więźniowie zatrudnieni w Politbiurze dział ewidencji, spisali nasze personalia i znaki szczególne. Z tego pokoju skierowano nas do problematycznego wykąpania się pod chłodnym prysznicem w szybkim tempie z poganianiem przez SS-manów. W następnej sali dano nam jedną koszulę, kalosony i cienki pasiak, nie dopasowane do naszej miary. Pozwolono nam zatrzymać własne obuwia, skarpetki oraz paski do spodni. Z sali tej zabierał "Kapo" grupy po 50 osób i odprowadzał na przekraczające bloki. Ja trafiłem na 10-a, gdzie blokowym był "Kapo Willy", nazwiska nie znam, nawiasem mówiąc porządny człowiek. Nie zauważyłem, żeby bił więźniów z zadowoleniem. Jeżeli którego udzielał, to wtedy kiedy był zmęczony do tego obecnością swoich wadz Kujerschnich, lub SS-manów.

Przeznaczono mnie do sali nr. 2. Położyliśmy się na siennikach papierowych wypchanych słomą. Kocy do przykrycia na stan sali nie wystarczало. I tak około 4-tej rano po raz pierwszy spałem w obozie przykryty wspólnie z drugim towarzyszem niedoli jednym kocem. (Kocy były nowe i insektów nie było).

Nazajutra była niedziela. Pozwolono nam spać do około godz. 9-tej.

Po wetaniu i ubraniu się, sienniki zostały złożone pod ścianą sali i przykryte kocami. Blokowy wydał nam polecenie, że na siennikach nie wolno siedzieć, ręk w kieszeniach nie wolno trzymać, a przy wejściu na salę kogoś w śladz obozowych, pierwszy więzień, który wejście zauważy ma krzyknąć "Achtung" i zameldować stan sali.

O godz. 12-tej wybrano kilkunastu więźniów do przyniesienia obiadu. Przyniesiono także miski i łyżki, lecz w niedostatecznej ilości. Na pierwszy posiłek w obozie otrzymaliśmy 3/4 litra kawy kawiszostej ugotowanej z pęczaku i kartofli. Na kolację dostaliśmy 1/2 litra kawy różniokłej, 1/3 bochenka chleba i około 3 dkg. starej słoniny. Na drugi dzień rano otrzymaliśmy 1/2 litra kawy gorzkiej. Tę samą ilość więźniów żywnościowo zostały zachowane z tym, że w pewnych okresach jakość pokarmu pogarszała się i zmniejszano porcję, prz. do 1/2 litra kawy dla tych, którzy nie mogli pracować.

Pierwszy gong, który nas budził ze snu był o godz. 4,30, a o godz. 6-ej zaczynał się apel, który polegał na sprawdzaniu stanu liczebnego obozu. Apel odbywał się na ogromnym placu dzielącym czworobok obozu centralnego na dwie niesymetryczne części. Rapportführer meldował stan obozu komendantowi obozu. Po przyjęciu raportu przez komendanta obozu, wydawał komendę "Arbeitskommando antreten". Więźniowie, którzy już byli przed nami w obozie stawali w kolumny bloków i ustawiali się w kolumnach jakimiś chodzili do pracy. Po pierwszym apelu pozostaliśmy na placu. Tymczasem więzień Mazur rodem ze Śląska, przedstawił nam kolejnego blockführera młodego podoficera SS, lat około 19-ta, blockowego Willego jego następcą "Fryck", poczym na polecenie blockführera dostaliśmy kolejną komendę i musztry niemieckiej. Następnie zuchono nas marszu "szabką", czyli w przysiadzie /na komendę laufschrift marsch marsch/. Do dalszego świadczenia nas zmuszano więźniów, wydzielonych z naszej grupy, a rozumiejących język niemiecki. Tak zaczęły się godziny bezna-ownego marszu po wyświetlonym placu, pod ostrą obserwacją różnych "Kapo" i "Blockeltesterów", w większości wypadków kryminalistów, no-

owanych w odróżnieniu od więźniów politycznych sielone trójkąty.-----
Po upływie kilku dni zaczęto przydzielać nam do świadczeń, "Kopów", które
raz zapoznawali nas z warunkami i wymogami obozu. Zapoznanie to
opierało się przeważnie na ogólnym przeganianiu, poszturgiwaniu, na
indywidualnym biciu po twarzy, lub maltretowaniu. Świadczenia takie od-
bywały się w grupach po 100 ludzi, ewentualnie mniejszych. Grupacysty
się przy tym blokowy - bloku nr.17-a, nazwiska nie pamiętam, który za-
największe uchybienie w mundurze bił pięściami w żołądek i serce, czę-
sto rezultatem było opuszczenie żołądka, lub serca.-----
W tym to czasie lagerstester "Bruno" nadterminowo się zabrał, naro-
dowości niemieckiej zainteresował się naszymi świadczeniami, zauważył
on sobie adwokata z Warszawy, nazwiska nie pamiętam, który nieudolnie
wykonywał świadczenia, wywołał go z szeregu i przy całym repertuarze wy-
mysłów i porównań jak: "du polnische Schweine, verdanten Polesken"
i t.p., uderzył go w okolice szyi i zabił adwokata na miejscu. Nie-
lu więźniów po świadczeniach było odnoszonych na izbę chorych. W tych
warunkach po upływie kilku tygodni obunio nam spadło z nog, a jaka-
kolwiek praca zdawała się nam zniechęcać. I ta też wkrótce się zaczęła.
Nie orientowałem się dobrze w nazwiskach władz obozowych. Dały się
jednak słyszeć takie jak "Palitsch, Fritsch". Często dało się zauwa-
żyć, że świadczenia obserwują wyżsi oficerowie SS. Zapowie wtedy okazy-
wali więcej gorliwości w znęcaniu się nad nami, ponieważ "Lagerkoman-
dant" nie znosił bez ruchu, bo lubił śpiew i słuchać nauczania nas pio-
senki: "Im Lager Auschwitz war ich zwar".-----
Wciąż oglądaliśmy się ciągle za możliwością ucieczki z naszerującej
kolony do pracy. W związku z tym, że zaczęto rozbudowywać ogrodzenie
obozu, zaczęto wybierać z świszących grup ludzi do przenoszenia słupów
betonowych, na których później rozpięte były druty kolozaste z wia-
czonym prądem elektrycznym. Wtedy okolicznościowo brano i mnie do prze-
noszenia słupów. Woliałem jednak tę bardzo ciężką pracę, niż musztrę
na placu. W krótkim czasie transport nasz został rozdzielony na pracu-

jące kolumny więźniów. Grupy więźniów z wcześniejszych transportów używane były do pracy poza obozem przy zbiorach w okolicznych majątkach pod zarządem komendatury obozu. W miarę wyniszczania się starszych kolumn, dobierano do pracy więźniów z naszego transportu. I tak w końcu października 1940 r. zostałem zaliczony do kolumny pracującej na magazynach później nazwanych "Bankoff". Oberkapem na magazynach był niejaki "Zygfryd". Niemiec ten znany jako "Kapo bez ręki", również dobrze potrafił bić posiadając lewą ręką, jak mniemam w swoim repertuarze: "hüpfen i rollen". To ostatnie polegało na tuleniu się do ziemi i stosowane było w czasie niepogód. Jednak za niezłomne mi przewinięcie został wysiedlony z obozu i ślad po nim zaginął. Krążyła wersja, że jakoby powiesił się w poślizgu.

Od grudnia 1940 r. "Oberkapem" na magazynach został jako "August", kryminalista niemiecki. Stosował te same metody, co jego poprzednik. Potrafił bystrym okiem wypatrzeć chwilę zatrzymania się więźnia dla odpoczynku, wyciął go do siebie i bił czym popadło, ewentualnie ustoicznie odliczał 25 uderzeń kijem w kierunku delikwenta. Jednemu z więźniów rodem z Lubelskiego złamał rękę za to, że chciał się oszczędzić od uderzeń i nie zachowywał podstawy baczności. tłumaczem jego był ślązak późni-jazy capo "Peter", średniego wrostu, tęgł, przysadzisty, budowy, o szerokie karku, niebieskooki, blondyn. Znęcał się nad nami, zmuszając nas do nadmiernej pracy. W maju 1941 r. zmusił grupę 100 więźniów, w której pracowałem do przetoczenia kilkunastu wagonów towarowych. Pomimo natężenia wszystkich sił, wagonów nie udało się przetoczyć. Przeszła nam z pomocą druga grupa 100 ludzi. Ale wagony były jak przymurowane. Rozwścieczony tym zszarpał capo "Peter" chwyć trzonek od kilofa i zaczął nim bić więźniów, bił tak, że na danym z kolei więźniu trzonek pękł. To także nie pomogło, bo okazało się, że jeden wagon był zahamowany. Po odhamowaniu wagonu zespół ten przetoczyliśmy. Vorarbeiterami grupy "Magazyny", jak również i innych terenów pracy, byli Polacy, którzy jednak w okresie mojego

pobytu zachowywali się "dość możliwie". Były także wyrodne jednostki, które wysługiwały się niemiernie.

Przez cały czas mojego pobytu w obozie nie można było otrzymywać paczek od rodzin. Jedynie w czasie Świąt Bożego Narodzenia w 1940 r. pozwolono rodzinom przysłać 1 kg. paczkę, a około Nowego Roku 1940/41 swetr, szalik i rękawiczki. Paczki otrzymywaliśmy potwierdzone, przy czym kolendy stwierdzili brak lepszych produktów. Była to oczywiście kraźnia.

Niezależnie od tych warunków i bicia, stosowano również dla więźniów kary indywidualne: jedna z cięższych kar, to była kara "słupka". Polegała ona na tym, że delikwenta wieszano za ręce wykręcone na płoty, tak, że nie sięgał stopami ziemi. Kara "słupka" odbywała się w niedzielę. Gdy więzień mdlał, oblewano go wodą, a więźniemu ciału, SS-man, capo, czy blokowy, nadawał ruch wachlarzowy. Po ukaraniu więzień sam zgłaszał się do karnej kompanii. Nie zgłoszenie się po odbyciu kary było nie do pomyślenia, ponieważ groziło za to dalsze represje. Stosowano także uwięzienie w bunkrze z racją żywnościową - porcją chleba i wody, oraz metodą, zwaną biciem. Karę słupka stosowano na okres 1-2 godziny i dłużej, że ktoś nie zjedzony na kolację chleb przeniósł na teren pracy i zjadł go w czasie pracy, lub za jedzenie surówki brukwi itp. Odstraszającym przykładem do nie jedzenia brukwi było postawienie więźnia przy bramie z brukwią w ustach na kilka godzin w postawie na baczność. Za ten i tym podobne провинienia stosowano także karę prac w czasie wolnym od pracy, ewentualnie przesyłano więźnia do S.E. (Sohtraftkompania) często na stały pobyt. Karano też za nie wydajną pracę, powolność i uchylenie się od pracy w języku obozowym nazwane "mar-kierowanie". Za próbę oddalenia się od grupy pracy i ewentualną próbę ucieczki, SS-mani mieli rozkaz strzelać.

Zwłoki składano były na terenie obozu w pobliżu bramy i miejsca postoju orkiestry, a na tablicy pisano kradą, że taki sam los czeka każdego, kto będzie usiłował uciekać. Rany zabitych były obnażone, ażeby mocniej

zstraszyć więźniów. Kary wyznaczal "Lagerkomendant" za pośrednictwem "Raportführera".

Mistrzem od "szupka" był blokowy karnej kompanii, mieszczącej się w 13-tym bloku, więzień kryminalny, narodowości niemieckiej Krankmann, który pełnił tam funkcję przez okres kilku miesięcy w początkowym momencie mojego pobytu w obozie. On to właśnie był tym, który wiszał na szupku zgłaszających się więźniów. Krankmann był znany z tego, iż nie potrafił przejść spokojnie obok więźnia, by go nieuderzyć najzupełniej bez powodu. Mnie uderzył dwa razy podobnie bez powodu w okresie tym, kiedy to był blokowym na 4-tym bloku.

Jedną z metod wyniszczania to było zaprzeganie więźniów do betonowego walca, którym walcowano wytworowane plac, czy drogi. W więźniach wypadków do pracy przy walcu wybierano zdów i kacię. W stosunku do kacię w początkowym okresie był specjalnie ostrzy kurs. Podczas biecia i krayków nieszczęśliwoy ci musieli ciągnąć walec w tę i spowrotem przez beznadziejnie długie odcinki pracy.

W czasie mego pobytu w obozie przyponimam sobie dwa wypadki udanej ucieczki więźniów. Wiosną 1941 r. uciekł więzień ze świeżo przybyłego transportu z więzienia świętokrzyskiego. Był to więzień kryminalny. Ucieczka mu się udała. W końcu maja 1941 r. uciekł więzień polityczny Polak, mieszkaniec miasta Oświęcimia. W chwili, gdy przyjechał furgonką do m. Oświęcim z eskortującym go SS-manem, ten wozedł do sklepu po paplarosy, więzień zaciął konie i uciekł. Za kilka dni znaleziono wóz, konie i ubranie więźnia, ale ten zdążył już zbiedzć dalej. Wybrano 50 więźniów z właściwych bloków, licząc co 10-go i rozstrzelano. Do drugiego wypadku zastosowano i represję w stosunku do ludności. Przywieziono grupę 50 ludzi, mieszkańców m. Oświęcim, najbliższą rodzinę uciekiniera, jak również i dalszych krewnych. Wszyscy dla przykładu zostali rozstrzelani na terenie "Industrihoff" I, (Holplatz). Prócz wypadków ucieczki udanej zdarzały się próby nie-udane.

W połowie sierpnia 1941 r. widziałem jak zastrzelono dwóch więźniów karnej kompanii, którzy usiłowali zbiec. Zbiegowie przebiegali około 10 m. od SS-mana, który nic nie zrobił, ażeby ich zatrzymać, lecz strzelał z zimną krewią.

W wypadku ujęcia uciekającego, po apelu wymierzono karę chłosty temu więźniowi. Na odpowiednio skonstruowanym stołku rozciągnięto więźnia i 4-ech SS-mandów na zmianę wymierzano 100 uderzeń w stazzenie i plecy delikwenta. Naturalnie 100 batów żaden więzień nie wytrzymał i egzekucja taka kończyła się przeważnie śmiercią.

W końcu listopada komin krematorium dymi bez przerwy. Jest to jedno z morderczych zarządzeń komendanta. Oboz zapęto rozbudowywał. Na centralnym placu apelowym przystąpiono do budowania 3-ech nowych bloków. Wznoszone mury potrzebowały cegły. Usiłowaliśmy zarządzenie "każdy kto pracuje w magazynach, obowiązkowo przy każdorazowym powrocie do obozu na apel musi przynieść 5 (pięć) cegieł, bez względu na to, czy stary, czy młody. Marzało się często, że wracając do obozu byliśmy obciążeni współtowarzyszami, którzy nie mogli iść o własnych siłach, ewentualnie zmarli w czasie pracy. Z chwilą wydania zarządzenia zrobiła się tragedia. Nieszczęśliwcy ci, którzy mieli za mało siły, ażeby iść o własnych siłach, zmuszani byli do brania dodatkowego ciężaru. Lagerkomendant używał sobie w ten sposób, że wspierał nych przez nas, musiał kopnięciami eleganckich butów do samodzielnie poruszenia się.

W grudniu 1940 r. w czasie gdy pałsi śnieg z deszczem stanęliśmy do a obiadowego apelu. Apel również przeciągał się. Jak się okazało raportier nie zdał raportu za stan obozu, ponieważ brakowało jednego więźnia, który jak się później okazało uległ w ślomie na magazynach. Staliśmy cały okres przerwy obiadowej tj. od godz. 12-tej do 13.30, przemoczeni i zmarznięci. Potem zostaliśmy wezwani do ustawienia się kolumnami pracy i bez obiadu poszliśmy pracować. Z naszej kolumny na magazynach liczącej około 2000 ludzi, do wieczornego apelu zmarło

około 200 więźniów. Więzień, który usnął został zabity przez "capów".
Wizowana mi jest cyfra ofiar tego dnia z innych terenów pracy, lecz by-
ła także duża, ponieważ trupy były zasłane wozami.-----
Pierwsza egzekucja przez rozstrzelanie była w listopadzie 1940 r. Roz-
strzelano 10 więźniów za kuchnią obozową, przyczyna sam komendant obozu
sobijał z pistoletu jeszcze żyjących. Zimą 1940 r. i wiosną 1941 r. kru-
katorium pracuje całą dobę bez przerwy. Łańce nie wygasają. W czasie mo-
jego pobytu w obozie, komór gazowych nie było, natomiast w końcu 1941 r.
zainstalowane były przygotowania do uruchomienia. Według opowiadania więźnia
nr. 4581, niejakiego Kerneru Edwarda, Polaka z Łagawy, pierwsza komora
miała odbyć się na początku 1942 r. Ofiarą miało być 500 jeńców sowieckich,
w tym byli wyżsi oficerowie lotnictwa i szefu kombinatu, oraz 120 Po-
laków, którzy w tym czasie siedzieli w piwnicach bloku użytego na komory
gazowe. Osobiście gazował raportnik "Politech". Ciała tych ludzi wy-
wieziono w nocy na teren pracy "Rajskokomarno" i tam na stosach spalono.
W czasie mego pobytu wykazywano więźniów wykonującą pracę i zieni wy-
raktami /barako liche jedzenie i niedostateczne ubranie/. W kwietniu
1941 r. grupę około 400 więźniów najsłabszych, których w szpitalu nie
chciano trzymać, a do pracy się nie nadawali, powodu zastarzanych ran,
odroczeń członków i wyniszczenia organizmu, wysłano na teren przygoto-
wany pod budowę fabryki syntetycznej "Bunawerk". W ciągu tygodnia, a naj-
wyżej dwóch, grupa ta wymarła. Niewiety nie znam nazwisk eskorty SS, jak
też i capów. W początkach listopada pracowaliśmy wspólnie z karnej kompanią,
przy wywożeniu żwiru z rzeki Söly. Porozumiewać się z więźniami karnej
kompanii nie pozwolono. Za porozumiewanie groziło wezelenie do karnej
kompanii. Nas z wolnych bloków pracowała tam grupa 200 ludzi. Po prze-
pracowaniu dwóch tygodni byłem zupełnie wyczerpany. W tym czasie mogłem
się zorientować, jaki terror panuje w karnej kompanii.-----
W każdej kompanii, gdzie przebywali wszyscy ludzie, kwieta i inni więź-
niowie, bito i zabijano za najdrobniejsze przewinienie.-----

"Cape sadyści" maltretowali na różne sposoby. Blokowemu karnej kompanii był niemiec "Krankemann". Karna kompania mieściła się w 13-tym bloku, posiadającym betonowe bunkry o małych celach, gdzie okupiano możliwie dużo więźniów (do celi 2m. x 1.5 m. wpędzano 12 cape i 30 więźniów Polaków, przyczym "cape" mieli przy sobie noże). Polacy wszyscy zginęli. Tolerancja władz obozowych pozwalała na wszystko "capom" i niktogo nie obwiniano za śmierć więźnia.

W grudniu 1940 r. karna kompania liczyła około 900 ludzi. W tym czasie przywieziono transport 900 chłopów z Lubelszczyzny, a także z powodu pacyfikacji tamtych terenów, lub za działalność konspiracyjną i skierowane ich do karnej kompanii, gdzie wszyscy zginęli. Wynika z tego, że władze zwierzchnie władz obozowych wiedziały czym jest karna kompania i że dyrektywy ośrodków różnych grup więźniów przychodziły także z góry. Wewnątrz obozu, tylko komendant obozu mógł skierować do S.K. W stosunku do księży, którzy byli w karnej kompanii był specjalnie zastrzeżony kurs (nosili fioletowe trójki). Księża tymczasowo mieli zmniejszone i nigdy żadnej dokładki. W czasie powrotu z pracy, karna kompania zawsze niesła kilka trupów zamordowanych kolegów.

W pierwszej połowie grudnia wstąpiłem się do pracy na magazynach. Na skutek kopnięcia przy pracy przez jednego z "cape" w nogę, otworzyła mi się rana, która wobec wyniszczenia organizmu nie goiła się. Poszedłem na kilka tygodni do rewalu, mieszczącego się kolejno w bloku 12, 15, 20 i spowrotem 15. Przy każdej przeprowadzce chorych, mogących chodzić, wyrzucono ponownie ran do pracy. Lekarzem kwalifikującym kogo można zostawić na rewalu był Dr. Dering, chirurg warszawski. W tym czasie doświadczeń na więźniach nie robiono.

W końcu grudnia 1940 r. leżąc w izbie chorych widziałem przez okno, iż dziennie wynoszone z kostnicy bloku od 20 - 30 skrzyń z trupami. Do jednej skrzyni kładziono dwa trupy. Na salach leżeliśmy pokotem wzdłuż ścian, przyczym stan sali wahał się od 30 osób do 65-ciu. Racje żywnościowe były takie same, jak i dla pracujących. W rewirowym

bloku nr. 20 na sali chirurgicznej otwierano okna, wobec tego, że such-
nęły rany, bez względu na pogodę i mróz. Przy 30 stopni mrozu, koce
pokrywały się szronem. Były okresy, że opatrunków nie zmieniano i 2-3
tygodnie, a ropa wygryzała zdrowe ciało i rany się powiększały.

Na początku marca 1941 r. zaziębiam się i zachorowałem na zapalenie
płuc. Zaopiekował się mną medyk więzień Krzysztof Hofman i dr. Włodawski,
syn byłego dyrektora Pogotowia warszawskiego -558-56. Dzięki ich star-
aniom i opiece przetrwałem zapalenie płuc i postarałem się o przetrzy-
manie mnie na izbie chorych do czasu nabrania sił. Wtedy czysto zosta-
łem jednak przez lekarza Niemca wyrzucony z bloku i trafiłem do prze-
siewania żwiru. Dozorował nas "capo", jakoby demokratą niemiecki (nosił
czerwony trójkąt), który niechętnie był nas trzonkiem od łopaty.
(Pracowaliśmy wtedy koło kuchni). Różnej przydzielono mnie do kolumny
transportowej na magazynach, gdzie pracowałem przy rozładunku wagonów.
W czerwcu 1941 r. niezagojona rana na nodze powiększyła się tak, że
coraz trudniej było mi chodzić. W tymże okresie dano się zauważyć przy-
gnębienie ogarniające więźniów. Zdarzało się coraz więcej aktów rozpa-
czy, jak rzucanie się na eskortę, rzucanie się na elektryczne druty
ogrodzenia i inne.

W końcu lipca 1941 r. dostabam się ponownie na izbę chorych, blok 15-a,
z zaostrzoną chorobą (groźne zakażenie).

W sierpniu 1941 r. miała miejsce selekcja chorych więźniów, dokonana
przez lekarza oficera SS, nazwiska nie znam. Wybrał on około 120 więź-
niów najbardziej wynędzniałych, nie mogących chodzić o własnych siłach,
z otwartymi ranami, po czym grupa ta została wyprowadzona i zniknęła.
Słyszałem, że grupa ta została zlikwidowana na terenie karnej kompanii
przez rozstrzelanie, a ciała spalone w krematorium.

Zwolniony zostałem z obozu prawdopodobnie na skutek starań rodziców,
bez podania powodu dnia 19.IX.1941 r. Posiadam kartę zwolnienia (Entla-
sungsschein) z podpisem SS. Sturmbanführera Moessa i fotografię zrobio-
ną w obozie.

111
113

W okresie pobytu w obozie usłyszałem kilka nazwisk, które mi nie były obce. Pokazano mi b. posła do Sejmu Stanisława Dubois, którego poznałem, ponieważ znałem go przed wojną z jego działalnością (należałem do Czerwonego Harcerstwa i Koła Młodzieży Socjalistycznej). Było to w 1940 r. Poseł Dubois nosił rękę w gipsie. Powodu złamania ręki nie znam. Później posła Dubois straciłem z oczu, jak również z nim nie rozmawiałem. Po powrocie do Warszawy dowiedziałem się, że gestapo dopatrzyło się, że poseł Dubois jest w obozie pod fałszywym nazwiskiem, i przzywiali go do Warszawy. Słyszałem wersję, że został rozstrzelany na Palmirach pod Warszawą.

W 1941 r. latem wskazano mi na placu apelowym b. premiera Bartla, który pracował na równi z innymi więźniami, co się z nim stało, nie wiem. Leżąc na izbie chorych zetknąłem się z prof. Patkowskim z Warszawy, autorem książki pod tytułem "Bandomierszczyzna". Stary ten człowiek napewno nie wytrzymał warunków obozowych. W tym samym czasie leżał na izbie chorych książę Mirski, hrabia Sobieszczański herbu Nałęcz - obaj nie żyją. Był tam także obywatel egipski profesor Korwin Pawłowski z pochodzenia Polak. Zetknąłem się także z kapłanem Bojewskim Janem z Miępoklanowa, który zmarł na biegunkę, ponieważ wcześniej zaczął wszystko jeść. W okresie kwietnia 1941 r., gdy leżałem na izbie chorych, przyszedł na salę w roli stubeeltestera, b. major WI niejaki Grzedkowiak z Warszawy. Potrafił dojechać do tego, że bił nas chorych drwiącym kijem na nieutrzymanie porządku. Później sam zachorował na serce i po dość długiej chorobie zmarł.

Z artystów polskich słyszałem nazwiska Znicz, Sawaś, z którymi nie wiem, co się stało.

W roku 1940 - 1941 do ostatniego dnia pobytu w obozie nie było żadnych ekscyztur obozu. Birkenau, Erzesinka, Waldfriden koło Jaworzna powstały później.

Początkowo istniał tylko centralny obóz z 20-oma blokami, kuchnią, a za

ogrodzeniem koszary SS i kasyno.-----
Krematorium było pierwszym budynkiem wniezionym przez więźniów. *M4*
20 bloków, w których były pomieszczenia oboza, to były dawne budynki
koszarowe, niekanalizowane i wody bieżącej w obozie nie było. Obóz
początkowo był ogrodzony szafkami z drutu kolczastego, a później photo
tam z drutami pod wysokim napięciem.-----

Czytano. Jan Kaszyński wr.: p.o.sędzia: H. Woreńko wr. oraz trzeci
podpis nieczytelny wr.-----

SR.



Z oryginału zgodny

Sędzia Sądowy Sędzia
Jan Sahn

Biuro Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów